

"Each of the stories is like a Greek tragedy: a child confronted with a dilemma to forget father and mother in order to live. In these touching portraits, Marzynski describes the losses that the youngest generation of the Holocaust survivors has endured."
- A. Marek Drazewski, Film Maker

NEVER FORGET TO LIE

A Film by Marian Marzynski



LIFE ON MARZ PRESENTS NEVER FORGET TO LIFE
PHOTOGRAPHED BY JASON LONGO
EDITED BY IRENE SU CONSULTING EDITOR RAOUL ROSENBERG
ASSOCIATE PRODUCER ANNA STAPOR CO-PRODUCED BY JASON LONGO
WRITTEN DIRECTED AND PRODUCED BY MARIAN MARZYNSKI

PRESENTED BY



October 10, 2013 19:30
Tel Aviv Cinematheque
2 Sprintzak Street



POKAZOWY

26

2013

FRAGMENT POKAZU



nigdy nie zapomnij kłamać



Postanowiłem, że nigdy nie zrobię już filmu o Holokauście. W dokumencie zostało wszystko powiedziane, a fabuły denerwowały mnie robieniem widowiska z tragedii.

Ktoregoś dnia zadzwonił mój kuzyn Ed Herman, który wybierał się do Warszawy na konferencję dzieci Holokaustu. On i jego żona, oboje uratowani z zagłady, przez ponad 60 lat nie mieli odwagi odwiedzić Polski, ale tym razem się zdecydowali i postanowili przekonać mnie do filmu o dzieciach Holokaustu, które uciekły z warszawskiego getta w lecie 1942 roku. Jednym z nich będę ja...

Moja asystentka Ana (na zdjęciu po lewej stronie) jest w wieku mojej matki, prowadzącej mnie w roku 1940 do warszawskiego getta. Wywieziono mnie stamtąd na stronę aryjską, gdy miałem pięć lat. Ćwierć miliona mieszkańców getta zagazowano już wtedy w Treblince. Po prawie 70 latach, ja i inni, wracamy na podwórka, na których, w obawie o nasze życie, nie wolno było nam się bawić.

Umieszczam tu mejle, jakie wysyłałem Anie w okresie przygotowań do filmu. Widzę w nich chaos, z jakiego powstaje ten film: z jednej strony długie przygotowania, z drugiej improwizacja.

(1)

Ana kochana, jak zwykle nie mam budżetu, a tylko nadzieję, że po zrobieniu się sprzeda, potrzeba mi 20 dni zdjęciowych, przylatuję do Warszawy 3 sierpnia i zaczynamy dokumentację z badaczami historii getta warszawskiego, będziemy chodzili ulicami dawnego getta, żeby ustalić miejsca, gdzie mieszkali nasi bohaterowie, miejsca przekroczenia muru i adresy, pod którymi ukrywaliśmy się po stronie aryjskiej.

(2)

Ana, przejrzyj *Getto: przewodnik po nieistniejącym mieście* Barbary Engelking i Jacka Leociaka, zapoznaj się z mapą getta, zgraj ją z dzisiejszą siatką ulic, a potem znajdź domy, które się zachowały na Chłodnej, Żelaznej, dawnej Leszno, Siennej, Miedzianej, Waliców, Twardej, Śliskiej, Dzikiej, Elektorальной, Łuckiej, Próżnej i innych, a przy okazji znajdź kawiarnie/restauracje, miejsca, w których by można robić zdjęcia, tak żeby dawne getto było w tle, również miejsca zabaw dla dzieci w tych nowych blokach na Muranowie, następnym zadaniem będzie znalezienie starych kamienic po stronie „aryjskiej”, gdzie chowały się dzieci po ucieczce z getta, które mają

dwie albo trzy oficyny i do których jest jeszcze wolny dostęp (bez domofonu), podwórka, które nas interesują muszą być nieodremontowane i bez komercji w środku, w Śródmieściu jest takich trochę w okolicach Hożej, Wilczej, Żurawiej, Nowogrodzkiej, również na starej Pradze, (Targowa, Ząbkowska, Brzeska), potrzebne nam też będą fasady przedwojennych domów, zniszczone, ze śladami kul, chciałbym zrobić jedną sekwencję w kanałach, zakręć się koło tego.

Zaczynam od mojej własnej ucieczki. Odziedziczyłem te notatki po matce, która przeżyła wojnę.

Marian Kuszner (Marzyński). Adresy w getcie, 1940-1942: Sosnowa 8, 3 piętro Sosnowa 57 (po zmianie granic getta), Sienna 59, pod tym adresem było przedszkole, które prowadziła Gienia Fajfel, Leszno 56, tam była w 1942 pierwsza blokada, z której wywożono do Treblinki. Prababcia Salomea Herman i babcia Justyna Herman zostały zabrane. Nowolipie 14, tam była w 1942 roku druga blokada, z której zabrano siostrę matki, Małtyldę Kuszner i jej dziecko, sześciolatniego Henryka; Stawki 14 lub 29. Mój ojciec Borys Kuszner prowadził tam warsztaty stolarskie. Szkoła rzemieślnicza i tam również mieszkaliśmy, tam były dwie blokady, z pierwszej wyszliśmy cało, bo ojciec miał przepustkę na życie jako pracujący dla niemieckich potrzeb wojskowych, ale zabrano do Treblinki innych członków naszej rodziny (moja babcia i prababcia wśród nich), w czasie drugiej odezwano mnie od rodziców, ojciec pobiegł za mną, interweniował niemiecki właściciel warsztatów, który później powiedział ojcu, że w następnych blokadach zabierane będą dzieci pracowników, a potem ich żony.

Moje dwie pierwsze próby ucieczki z getta w końcu sierpnia 1942 roku: pierwsza, nieudana, była z przewodniczką Lolą Korn, która dostała złoty zegarek dla przekupienia niemieckiego żandarma na warcie przy ulicy Okopowej, ale żandarma tego tam nie było. Druga, z inną przewodniczką, była udana, po przejściu zostaliśmy zatrzymani i szantażowani przez szmalcowników, potem aresztowani przez granatowego policjanta i zawiezieni na komisariat, gdzie komisarz za wypuszczenie nas otrzymał złoty zegarek.

Adresy po ucieczce z getta: Podwale 19, u siostry matki, Zofii Majewskiej, która mieszkała tam z nieżydowskim mężem, Aleksandrem Majewskim; zakład dla dzieci niedorozwiniętych w Świdrze, prowadzony przez zakonnice.

Matka ma przygotowany fałszywy dowód osobisty na nazwisko Zofia Różańska, z którym osobno ucieka na stronę aryjską.

Ucieczka matki z getta we wrześniu 1942: przy pomocy policjanta żydowskiego, naszego kuzyna Samuela Przedborskiego, moja matka Bronisława Kuszner przeszła przez budynek sądowy na Lesznie. Po drugiej stronie czekał na nią jej szwagier, Aleksander Majewski, po zatrzymaniu przez szmalcowników czekających przed sądem, jej szwagier udał niemieckiego agenta, i zabrał szmalcowników do rozłką pod budynek Gestapo w Alei Szucha, w ten sposób uwalniając się od nich; on i matka odjechali stamtąd niemieckim tramwajem, żeby szmalcownicy dalej ich nie śledzili.

Dalsze adresy po stronie aryjskiej: Podwałe 19, dwa tygodnie u Majewskich, Wileńska, dwa tygodnie u kuzynki Majewskich. Poznańska, jakiś czas u Łodzi, przedwojennej służącej przyjaciela ojca. Mickiewicza 25, jakiś czas u rodziny Rolke. Ursus pod Warszawą, kilka tygodni za pieniądze, u rodziny, która traktowała mnie bardzo źle. Piastów pod Warszawą, podobna, nieudana próba przechowania się za pieniądze u innej rodziny. Kałuszyńska 7, w mieszkaniu Krystyny Baranowej, socjalistki, przedwojennej sekretarki mojego ojca w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, Mokotowska 45, w mieszkaniu siostry ojca, która, ukrywając się sama, była służącą dr. Marczewskiego.

Krakowskie Przedmieście, budynek narożny Uniwersytetu Warszawskiego, po prawej stronie przy głównej bramie, 3-4 miesiące (listopad 1942 - kwiecień 1943) u księdza Józefa Kamińskiego (kapelana Szpitala Świętego Rocha) i jego gospodyni, Antoniny Kaczorowskiej, która odmówiła wynagrodzenia za ukrywane mnie, ale z powodu niedostarczenia fałszywej metryki urodzenia nie mogłem tam dłużej być. Kałuszyńska 7, powrót do mieszkania Krystyny Baranowej, po jakimś czasie szantażują ją sąsiedzi; Mokotowska 45, wizyta z matką u szwagierki, która z obawy przed szantażem sąsiadów, odmawia nam schronienia, próba skoku samobójczego z 5 piętra, Róg Wolskiej i Okopowej, podwórko kamienicy, w której mieściła się Rada Główna Opiekuńcza (RGO), podrzucony tam w maju 1943 przez matkę z nadzieją dostania się do sierocińca, plan się nie udaje, dozorca Szalkowski zabiera mnie do swojej suteryny.

ZESPÓŁ ADWOKACKI Nr 20
Warszawa, ul. Mysia 2 (róg Brackiej)
Telefony: Centrala 2107, wewn. 461 i 464
Konto P.K.O. 1-14-141829

Warszawa, dnia 22 lutego 1969

OSWIADCZENIE - ZEZNANIE

Ja, niżej podpisana Krystyna BARANOWA oświadczam, że w latach 1937 - 1939 pracowałam w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie jako sekretarka inżyniera Borysa KUSZNERA. Utrzymywał w tym czasie bliższe kontakty z nim i jego żoną Bronisławą KUSZNER mieszkającymi przy ulicy Wilanowskiej 4.

W czasie okupacji hitlerowskiej śledziłam dokładnie losy tej rodziny, która w roku 1941 przeniosła się na teren wydzielony dla getta warszawskiego.

Natomiast po nielegalnym opuszczeniu murów getta przez Bronisławę Kuszner / która występowała pod przybranym nazwiskiem KOCZYŃSKA/ - skontaktowałam się z nią, pragnąc jej przyjść z pomocą.

Wielokrotnie ukrywałam w moim mieszkaniu przy ulicy Kałużyńskiej 8 Bronisławę Kuszner-Koczyńską i jej syna Mariana Kusznera - Koczyńskiego. W czasie tych pobytów, ze względu na grożące niebezpieczeństwo ukrywani byli w piwnicach, na strychu i w szafach.

Szczególne niebezpiecznym było ukrycie małego dziecka ze względu na jego smutny wygląd. Wykorzystując akcję pomocy dla dzieci uratowanych z Zamościa - udało mi się na pewien czas umieścić chłopca u gospodyni domowej kapelana szpitala świętego Rocha w Warszawie księdza Zbigniewa KAMINSKIEGO - Antoniny KACZOROWSKIEJ. Niestety nie mogąc uzyskać potrzebnych fałszywych dokumentów - musiałam dziecko zabrać.

W sytuacji krytycznej, kiedy matce i dziecku groziła niechybna śmierć, opracowaliśmy wspólnie plan pozostawienia dziecka na podwórzu Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie. Plan ten obliczony był na umieszczenie dziecka w jednym z domów opiekuńczych przy ukryciu jego pochodzenia. Przypadek sprawił, że dzieckiem zaopiekował się dozorca tego domu i w ten sposób nie trafiło ono do punktu rozdzielczego. Przez niesięc matki i ja bezskutecznie poszukiwaliśmy dziecka. Wreszcie jego opiekun przyprowadził je do mieszkania księdza Kamińskiego, który postanowił je zatrzymać u siebie.

Przez ponad blisko rok ścisłego kontaktu z Bronisławą Kuszner - Koczyńską - Marzyńską i jej synem Marianem - stwierdzam, że matka cierpiała na skrajne wyczerpanie nerwowe, chronicznie niedożywienie, a dziecko na owrzodzenie ciała z powodu niedożywienia i krzywicę.

K. Baranowa

ZESPÓŁ ADWOKACKI Nr 20
Warszawa, ul. Mysia 2 (róg Brackiej)
Telefony: Centrala 2107, wewn. 461 i 464
Konto P.K.O. 1-14-141829

Stwierdzam, że podpis powyższy położony w własnoręcznie w mojej obecności Krystyna Baranowa, zam. w Warszawie, ul. Kałużyńska 12m. 6,

legitymująca się dowodem osobistym SJ 5897682 wydanym przez KDMO Warszawa-Sródmiście.
Warszawa, dnia 22 lutego 1969.

Jadwiga Mecweldowska
/Jadwiga Mecweldowska, adwokat/

OSWIADCZENIE - ZEZNAНИЕ

Ja, niżej podpisana ANTONINA KACZOROWSKA oświadczam, że od roku 1938 pracowałam w Warszawie jako gospodyni domowa księdza Zbigniewa KAMIŃSKIEGO, który w roku tym objął funkcję kapelana przy ~~krakowskim~~ szpitalu Świętego Rocha przy ulicy Krakowskie Przedmieście 24.

Na przełomie lat 1942/1943 dowiedziałam się od sąsiadki o losie dzieci uratowanych od śmierci z terenu Zamościa i wyraziłam chęć zajęcia się jednym z takich dzieci.

Po pewnym czasie zgłosiła się do mnie p. Krystyna BARANOWA przyprowadzając chłopca w wieku lat 5 o nazwisku Marian KOCZYŃSKI, pochodzącego z Zamościa, nieznanymi rodziców, obiecując dostarczenie metryki urodzenia po dwóch tygodniach. Za zgodą księdza Kamińskiego dziecko pozostało w domu pod moją opieką.

Po 2 miesiącach pani Baranowa, która nie była w stanie dostarczyć papierów dziecka wyznała, że dziecko nie pochodzi z Zamościa, lecz jest pochodzenia żydowskiego, zostało nielegalnie wyprowadzone z getta warszawskiego, a jego matka zmuszona sama do ukrywania się przed Niemcami nie jest w stanie zapewnić mu bezpieczeństwa. Ponieważ szpital, na terenie którego mieszkaliśmy znajdował się pod baczna obserwacją władz okupacyjnych nie byliśmy w stanie dalej ukrywać dziecka bez żadnych dokumentów.

W lecie 1943 roku zgłosił się do mnie p. SZAJKOWSKI przyprowadzając ze sobą chłopca i opowiadając, że został on podrzucony na terenie budynku Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie i przez przypadek trafił do jego mieszkania, które zajmował w tym domu jako dozorca. Jednocześnie stwierdził, że warunki materialne nie pozwalają mu dalej zajmować się dzieckiem i przyprowadza je pod adres jaki wskazał.

W tej sytuacji ksiądz Kamiński, który już wcześniej poinformowany był przez matkę ex losie dziecka pozostawionego z tabliczką na szyi w podwórzu Rady Głównej Opiekuńczej - zdecydował zatrzymać je w domu.

W mieszkaniu, w ukryciu dziecko przebywało do września 1943 roku, a następnie zostało umieszczone w zakładzie wychowawczym księży Orionistów w Łązniewie koło Warszawy. Dyrektor zakładu, ksiądz Podgórski wiedział o żydowskim pochodzeniu dziecka. W czasie wielokrotnych odwiedzin w zakładzie byłam świadkiem jak dziecko było ukrywane w kaplicy w momentach gdy w okolicy pojawiał się ktoś podejrzany lub patroli niemieckie.

Dziecko przebywało w zakładzie do stycznia 1945, kiedy odebrała je matka Bronisława KUSZNER - KOCZYŃSKA - MAJZYŃSKA.

ZESPÓŁ ADWOKACKI Nr 20
Warszawa, ul. Mysia 2 (róg Brackiej)
Telefony: Centrala 2107, wewn. 451 i 454
Konto P.K.O. 1-14-141000

Stwierdzam, że podpis powyższy położyła własnoręcznie w mojej obecności Antonina Kaczorowska, zam. w Warszawie, ul. Szwoleżerów 7a m. 16, legitymująca się dowodem osobistym SJ 6426378 wydanym przez KDHO Warszawa-Sródmiście. Warszawa, dn. 22 lutego 1969.
Jadwiga Koczorowska, adwokat/

Kaczorowska

Krakowskie Przedmieście, w czerwcu 1943 doprowadzam Szalkowskiego do mieszkania księdza, który przyjmuje mnie na nowo. Krystyna obiecuje dostarczenie fałszywych papierów. Falenica, zakład sióstr, w sierpniu 1943 ksiądz wysłał mnie na kolonie letnie. Kałuszyńska 7, po spowiedzi matki u księdza Chrobaka w kościele Świętego Jakuba matka i ja jesteśmy chrzczeni w mieszkaniu Krystyny Baranowej, otrzymujemy fałszywe papiery: matka nazywa się Zofia Marianna Różańska, ja: Marian Koczurski, urodzony w Rownem, 12 kwietnia 1937 roku. Zakład dla chłopców księży Orionistów w Łązniewie, koło Błonia. Dzięki matce późniejszego arcybiskupa, księdza Bronisława Dąbrowskiego, który tam pracuje, jestem umieszczony w zakładzie we wrześniu 1943 roku. Prefektem jest ksiądz Barański, dyrektorem zakładu, ksiądz Podgórski. Matka odbiera mnie stamtąd po wyzwoleniu, w styczniu 1945.

Ważne w mojej biografii są następujące elementy:

- obrazy przeprowadzek z dobytkiem między mieszkaniami, ja to pamiętam w strzępach,
- co pisze się w archiwum o sytuacji mieszkaniowej w getcie, jakie zarządzenia wydawał Judenrat (rada żydowska), czy była kontrola zagęszczania mieszkań, ile kosztowało wynajęcie?
- akcje (blokady) niemieckie (lipiec-sierpień 1942 i później, po mojej ucieczce), które działy się wokół miejsc, gdzie mieszkaliśmy, gdzie, kiedy, jakie rezultaty?
- system otrzymywania „paszportów na życie”, czyli zaświadczeń, że ktoś pracował dla potrzeb niemieckich, mój ojciec posiadał takie zaświadczenie, co przedłużało jego pobyt w getcie, jak się przechodziło z getta na stronę aryjską przez budynek sądów? (moja matka tak przeszła),

- ostatnie transporty z getta tuż przed lub zaraz po powstaniu 23 kwietnia 1943, w jednym z takich transportów do obozu (Majdanek?) był mój ojciec, który wypiłował otwór w pociągu i uciekł w lasach pod Puławami (Wólka Prefekta).

(3)

Ana, przekaz polskim uczestnikom filmu pytania, które po angielsku wysłałem już tym, co mieszkają w Stanach i Kanadzie, jak wi-

dzisz robię wszystko, żeby zmienić styl opowiadania z „literackiego” (losy rodziny) na wizualny (co widziało dziecko), nie będzie to łatwe, bo ostatni świadkowie zagłady przyzwyczaili się korzystać z wiedzy pochodzącej z innych źródeł, a mnie interesuje tylko fragmentaryczna pamięć dziecka. W pytania wpisuję pierwsze otrzymane odpowiedzi.

Jak wyglądali rodzice, dziadkowie, inni członkowie rodziny? Jak się ubierali?

Matka była szykowna, niezbyt ładna, ojciec przystojny, inż. bud. po studiach w Niemczech, jeden dziadek był budowniczym, przed wojną, miał Packarda, szofer w liberii, klapa z tyłu dla dzieci, które wołały „szybciej”, willa w Młocinach, zjazdy rodzinne, dobrobyt.

Jak wyglądały zabawy dziecięce?

Kółko graniaste, stary niedźwiedź mocno śpi, budujemy mosty dla pana starosty, kokardy, plecione warkocze, chodziliśmy do Ogrodu Saskiego, łabędzie, teatr letni, wyjazdy do Michalina, łubin, kwiaty, pola.

Pierwsi Niemcy...

W drodze do Młocin zobaczyliśmy plakaty mobilizacji, pierwsze tygodnie spędziliśmy na Senatorskiej u rodziny, bo mówiło się, że w Śródmieściu bezpiecznej, w czasie nalotów kryliśmy się w piwnicach, mamy brat tam zabity, po zawieszeniu broni wróciliśmy na Podchorążych, podjeżdża ciężarówka niemiecka, do mieszkania wchodzi oficer, pokazuje pejcem na żelazko, którym prasuje służąca, żołnierz zabiera je, za każdym przyjazdem wywożę, co im się podoba, bo się meblują, w czasie nalotów idziemy do pokoju bez okien, tam się dowiaduję, że kuzyn został zabity na ulicy.

Jak wyglądało wasze mieszkanie w getcie?

Na Dzielnej parszywe mieszkanie bez kanalizacji, w korytarzu stał kubeł, ojciec wynosił kupy do ubikacji na podwórzu, tam nie chodziliśmy, ale było światło i mieszkanie było w dzień jasne, pokój z kuchnią i przedpokój, ojciec na tapczanie, matka na łóżku, siostra w małym łóżku, ja na koźetce w kuchni.

Czy pamiętasz zapachy ulicy, podwórka, mieszkania?

Zapach stajni. Po przeprowadzce do Tobensa był mur tuż za domem, pod murem Łotysze, Ukraińcy w czarnych mundurach z karabinami, młodsza siostra ukrywana w pojemniku na węgiel albo zabierana przez matkę do Tobensa, ojciec placówkarz, chodził do pracy na stronę aryjską i wracał na noc, ja z ausweisem, że niby pracowałam też u Tobensa.

Jak pamiętasz ulice getta, szkołę?

Do szkoły na Dzielnej chodziłam najpierw przyzwoitymi ulicami, potem, jak zmieniono granice getta, przez bazar na Nalewkach, tłumy potworne, bieda, głównie brak jedzenia, trupy dzieci na ulicach. Pierwszy rok uczyłam się w domu, przychodziła jedna z przedwojennych nauczycielek, zbierałam znaczki, czytałam „Serce” Amicisa, „Trzech muszkieterów”, poszłam do szkoły prywatnej Zjednoczenia Nauczycieli, która była wzdłuż mostu między dwiema częściami getta, napisałam kiedyś wypracowanie „Co bym zrobiła, gdybym była ptaszkiem?”. Poleciałabym do Szwajcarii... Założyliśmy ogródek, ale na dwa miesiące przed selekcjami, nic nie zdążyło wyrosnąć.

Co się jadło w getcie?

Połączenie masła z kakao i cukrem nazywaliśmy „kupą”, bo taki miała kolor, kiedyś niosłam torbę ze słodyczami ze sklepu, wygłodniałe dziecko wyrwało mi ją z ręki, takie dzieci nazywano „haperami”, „łapaczami”, poza tym jedliśmy „stinki”, małe śmierdzące rybki, mieliło się to na papkę, było niezłe, nie byliśmy głodni, ale jedzenie prymitywne, mama podsuwała jedzenie sąsiadom. Mieszkanie ograbione, potem wyrzuceni z mieszkań, do getta. Założenie opaski z gwiazdą Davida... Idziemy. Miękką, z płótna, białą, wyhaftowana gwiazda Davida, brzegi też niebieskie.

Kiedy usłyszałaś słowo „getto” i z czym się ono kojarzyło?

Że będziemy zamknięci, tęskniłam za zielenią.

Czy pamiętasz przeprowadzkę do getta?

Z Miodowej 20 (pod 18 była palarnia kawy, pamiętam zapach), antyki, okręt stał na kredensie, zrobiony z czerwonego szkła weneckiego, dwa lwy stoją przed wejściem na Miodową 20, koń, furmanka, przeprowadzka na Nowolipki 10.

Czy pamiętasz zapach dezynfekcji w getcie?

Pluskwy w materacach zabijaliśmy, oblewając brzegi gotującą się wodą, wszy/gnidy we włosach przez wyczesywanie kościanym gęstym grzebieniem, był też lek „sabadylla”, ale nie zawsze działał.

Choroby własne i innych...

W gardle czopy ropne (odra zakaźna?), w ostatniej chwili ojciec zdobył zastrzyk z surowicy, matka strasznie chudła, miała tasiemca, dostała na to truciznę, wyszedł.

Jeżeli byłaś na Umshlagplatz, opowiedz to obrazami...



Dwie blokady, z pierwszej zabrali do Treblinki babcię (50 lat), druga selekcja: kto nie zjedzie, będzie rozstrzelany. Marsz na Umslagplatz. Niemiec: „Pod mur!”, chce mnie zabić. Rozmowa z Niemcem, czułam, że jestem już zabita, widziałam kwiaty, pola, powiedziałam mu: „Będziesz miał przez całe życie moją twarz przed oczami”, krzyknął: „LAUFEN!”, „Uciekaj!”. Podeszła aryjska przekupka (chleb-ciuchy), ubrana byłam w podwójne rzeźcy, miałam w torebce różaniec, medalik ze świętą Tereską, opiekunką dzieci, powiedziała: chodź ze mną, koło cmentarza przyszła ze strony aryjskiej jej córka Krystyna z narzeczonym-folksdojczem, powiedziała córce: „To będzie twoja kuzynka, wacha przy cmentarzu” (latarka w oczy, miałam niebieskie, warkocz, blondynka, niepodobna, przejście, kąpiel, śpię w jej łóżku...).

Jak pamiętasz przygotowania do opuszczenia getta?

Pracowaliśmy u Tobensa (szycie mundurów niemieckich), po dwóch selekcjach postanowiliśmy uciec z getta. Któregoś dnia przyszła do nas kobieta, żeby utlenić matce włosy na stronę aryjską, ja też wzięłam mokrą szcztokę z wodą utlenioną i pociągnęłam sobie nią włosy, miałam dwa warkocz, byłam kiedyś jasną blondynką z niebieskimi oczami, a potem ciemniejsze, chodziło o to, żeby być jak najjaśniejszym, już do końca wojny tle- niłam sobie sama włosy tak, żeby nie było widać odrostów, bo to u młodej dziewczynki zdradzałoby żydostwo.

Opisz obrazy twojego wyjścia z getta.

Wieczór, ojciec, matka i ja (moja siostra była już po tamtej stronie), zima, styczeń 1943, noc, otwierają bramę getta, stoi żandarm, policjant żydowski, obaj przekupieni, my wychodzimy, po drugiej stronie ciemno, nic się nie dzieje.

(4)

Ana, posyłam ci pierwszą biografię ocalonego dziecka getta warszawskiego:

Hena Kuczer, córka Lejzora (stolarz) i Cyrli, ósme dziecko, najmłodsze, sześciorko w wieku dojrzałym, religijni, szabes, ojciec ze srebrną brodą, jidisz w domu, ale dzieci znały polski.

Plac Muranowski 10, przedwojenne mieszkanie znalazło się w getcie, po zlikwidowaniu małego getta przenieśli się na Miłą, zaczęło się piekło, kryjówka w kominie wentylacyjnym, strach, łomotanie serca, zaciśnięte pięści matki, gdy Niemcy płądrowali mieszkanie.

W lipcu 1941 dwaj bracia z rodzinami – do Treblinki. Przez kilka miesięcy budowali bunkier poniżej poziomu piwnicy na Zamenhofa, połączony z kanałem kilkumetrowym tunelem, w bunkrze mieszkało 20 osób, dwoje dzieci: brat (13) i ja (11), dookoła wszystko płonęło (powstanie w getcie), dla ochłody wchodziło się do kanału, pływały trupy, czuło się gazy trujące, w bunkrze ani światła ani wody, wielu nie wytrzymało i weszli do kanału, przy włączaniu zabijali ich Niemcy.

Niemcy przestali węszyć, uspokoiło się, zorganizowali wodę, elektryczność, w dzień cisza, życie zaczynało się w nocy, kilka miesięcy tak, skończyła się żywność, któregoś dnia dwie młode dziewczyny wyszły kanałem, żeby skontaktować się z jakąś organizacją. Po kilku dniach, czekając przy włączaniu, dostawaliśmy wiadomości, a nawet żywność.

Pierwszy opuścił bunkier brat Rafał (z powodu ciężkiej choroby, tyfus albo czerwonka), bez jego opieki bunkier został odkryty (Niemcy albo szabrownicy?), zginęło wtedy dwóch braci Izaak i Chaim, a my: słabi, schorowani rodzice, siostra, bratowa, najmłodszy mój brat i ja, schroniliśmy się w kanale, gdzie dowództwo objął mój trzynastoletni brat, który trochę znał kanały, bo chodził tam ze starszym bratem.

Dwie doby na deskach w kanale, nim nawiązany został kontakt z górą (strona aryjska), ale gdy przyszli ludzie, okazało się, że właz jest zalutowany. Trzeba było iść do innego kanału o wartkim prądzie wody, który porywał, trudno było utrzymać się na słabych nogach. Rodzice nie poszli, zatrzymali się pod zalutowanym włazem, moja 20-letnia siostra, Pola, nie chciała ich zostawić samych. „Wy idźcie, tam jest Rafał, zorganizuje pomoc”, zostali w kanale na zawsze. Noc, próbowaliśmy się zapierać łokciami o śliskie ściany kanału, przy blasku małej latarki na piersiach 13-letniego Idele.

Ja wyszłam po 9 miesiącach w bunkrze, we wrześniu 1943 roku. Żyła nas jeszcze czwórka: Rafał, bratowa Anka, 13-letni Idl i ja, żywe trupy. Wyniesiono nas w workach, nikt nie mógł stanąć na nogach – do piwnicy spalonego domu, tam zmarł mój braciszek, ogólne zakażenie, mimo że znalazł się doktor.

Zostało nas troje, Rafał zaangażował się w konspiracji, zaczął budować tunel do kanału, później wydany Niemcom przez Polaka, zginął w katowni na Szucha w 1944 roku. Chowaliśmy się po stronie aryjskiej, bratowa w żalobie, ja z zabandażowaną głową, grupka bawiących się dzieci: „O, patrzcie, Żydówka!”, nie wiem, kto nami się zajmował, bratowa wysłana na roboty do

Niemiec, przeżyła, ja w zakładzie dla sierot u siostr. Byłam teraz dorosłym 13-letnim człowiekiem.

(5)

Ana, chłopców uratowanych w getcie będzie znacznie mniej w filmie, to że byli obrzezani zmniejszało ich szanse na przeżycie. Oto biografia Edka Mersyka, syna adwokatów warszawskich, którzy w getcie pracowali w szopie szczotkarzy, pamięta akcję likwidacji getta.

Dziadek starał się ze mną ukryć na strychu, pamiętam, że Dziadek miał na sobie szal modlitewny, ale twarzy Dziadka nie pamiętam. Weszło dwóch Niemców – jeden w cywilu w skórzanym palcie, drugi żołnierz, pamiętam jego hełm, bił dziadka kolbą karabinu, pamiętam moment zabrania mnie i dziadka ze strychu domu na Nowolipki, następny moment to siedzę koło dziadka na Umschlagplatz i ktoś mnie nagle porywa, pamiętam słowo „szpital”, strome schody, powiedziano, że mam tyfus (to z opowiadań), potem uspiono mnie luminalem, zapakowano w plecak i umieszczono na spodzie furmanki. Pamiętam, że się obudziłem i przez szparę widziałem ulice. Nie wiem, czy to było jeszcze getto, czy strona aryjska. Pamiętam, że byłem przekonany, że w skrzynkach nade mną jest marmolada i byłem zdesperowany (z głodu), że nie mogę jej jeść.

Ojciec znalazł kontakt z właścicielką mieszkania przy ul. Grójeckiej 104. Zgodziła się nas przetrzymać w zamian za zapłacenie za remont tego mieszkania zniszczonego częściowo we wrześniu 39 roku. Okna wychodziły na ul. Opaczewską. Mój Ojciec miał „zły” wygląd i uważał, że jego obecność może tylko nam zaszkodzić. Po paru dniach właścicielka mieszkania skontaktowała go z podziemiem. Ojciec chciał wstąpić do partyzantki. Przyszło 2 osobników i on z nimi poszedł. Po kilku dniach przyszli z powrotem i zażądali od matki jego zimowego palta (w lesie było zimno), ale przy wyjściu powiedzieli, że już nie będzie potrzebne, bo już przed tym zaprowadzili go na Gestapo. I to była ostatnia wiadomość o moim ojcu.

Po paru dniach przyszła do nas ciotka z córką. Ukrywały się w wielu miejscach w Warszawie, ale ciągle musiały zmieniać kryjówki i to była ich ostatnia możliwość.

Właścicielka mieszkania nie chciała ich wpuścić – moja kuzynka też miała „zły” wygląd. Moja zrozpaczona Matka zaszantażowała panią S., mówiąc, że my wojny prawdopodobnie i tak nie przeżyjemy i jeżeli ona jej nie

przyjmie, to mama sama zawiadomi Niemców, że w tym mieszkaniu przetrzymuje się Żydów, no i tak ciotka z córką zostały z nami. Matka raz miała do czynienia ze szmalcownikami, którzy ją rozpoznali i zabrali jej na ulicy palto. Później znowu ktoś ją gonił na ulicy, ale okazało się, że to ktoś z Żegoty i dał trochę pieniędzy i kurczaka.

(6)

Ana, poniższy tekst pokazuje ci, jak trudno przekazać w filmie dokumentalnym obrazy, które zapamiętały uratowane dzieci warszawskiego getta. My przekażemy je metodą niemal fabularną: 70–80-letni bohaterowie filmu, w towarzystwie młodych przewodników po getcie, wchodzą na podwórka, na klatki schodowe, strychy i do piwnic byłego getta, w którym dziś stoją jeszcze walące się kamienice, niektóre puste, niektóre przeznaczone na rozbiórkę lub remont. Ta fizyczna śmierć starych domów wprowadzi nas do pustego getta, z jego ostatnimi obrazami zapamiętanymi przez dzieci, zanim przerzucono je na stronę aryjską. Ocalony ogranicza się do własnej pamięci, zadaniem przewodnika jest wprowadzenie go w topografię miasta, opowiadanie o rzeczywistości getta i wydarzeniach, których ocalony, jako dziecko nie doświadczał, uruchomi nowe warstwy pamięci. Posyłam ci wspomnienie Mai, która opuściła getto w wieku 11 lat.

To był koniec lata 1942, getto, gdzie pół miliona ludzi żyło na powierzchni jednej dzielnicy, nagle zrobiło się puste, otwarte mieszkania, z których wyciągnięto mieszkańców, stały wolne. Ja, mama, sześciolatnia Lenka, babcia, dziadek oraz moja ukochana ciocia Ania z siedmioletnią kuzynką, staraliśmy się długo spać, wtedy zapominaliśmy o głodzie. Raz była wielka uciecha, bo mama zdobyła jedno jajko, zjedliśmy je w trójkę, a potem starannie pokruszoną skorupkę, bo mama twierdziła, że to zapas wapna, którego nam brakuje.

W mieszkaniu na Zamenhofa mieliśmy zbudowaną kryjówkę w komórce, zastawioną szafą, chowaliśmy się tam, siedząc skurczeni godzinami, aż niebezpieczeństwo minęło. W pewnym okresie ukrywaliśmy się na strychu, przykryci wiklinowymi koszami na towary, co było najgorsze, bo te kosze roily się od pluskiew, które korzystały z okazji by nas gryźć, a ruszyć się nie mogliśmy pod groźą śmierci. Zdecydowałam wtedy, że jeśli Niemcy nie pójdą dosyć szybko, to ja wyjdę z tych koszów i niech mnie zabiją, to robactwo było gorsze od wszystkiego.

Nasza kryjówka została odkryta, szafa odsunięta, przy wrzaskach, szczekaniu psów, płaczu dzieci zostaliśmy spędzeni na podwórze, gdzie było sprawdzanie dokumentów, po godzinach krzyków i bicia nasi oprawcy uformowali kolumnę około 100 ludzi, których pognali pieszo w kierunku Umschlagplatz przy ulicy Stawki, gdzie ładowano ludzi do podstawionych wagonów bydłowych, z których dolatywał potworny smród chloru, upychano ludzi jednych na drugich. Ponieważ nie było stopni do wagonów, ci, co weszli pierwsi, wciągali następnych. Do wagonu, gdzie mogło zmieścić się 40 osób, pakowano ponad sto, więc ludzie stali potwornie sflaczeni, kobiety, które pogubiły w tłumie dzieci, lamentowały, na ziemi leżały pokrwawione szmaty, trupy i odchody ludzkie oraz pozostawione w popłochu walizki i pakunki. Ludziom pozwolono zabrać ze sobą 15 kg bagażu, ale w tym tłoku i zamieszaniu większość pakunków została porzucona.

Każdy z tych ludzi miał do ostatka nadzieję, że może przeżyje, a wtedy będzie mu potrzebny płaszcz, sweter czy miska do jedzenia, ale tłok i ścisłk uniemożliwiały utrzymanie nawet plecaka. Jakaś dziewczynka na wózku inwalidzkim, pozostawiona przez opiekunów, próbowała się dopytać, co z nią będzie i wołała swoją matkę. Zapchane do nieprzytomności wagony zostały zamknięte zasuwą z zewnątrz, zgrzytnęły łańcuchy i pociąg ruszył. Nasza spóźniona grupa, pozostała na placu. Wtedy już wiedzieliśmy, dokąd idą te wagony i co nas czeka na końcu ich drogi, pod koniec lata pojawili się w getcie uciekinierzy z wagonów, a nawet paru, którym udało się uciec z samej Treblinki.

Pokazał się żydowski policjant: więcej transportów tego dnia nie będzie, musimy poczekać do rana, gdy podstawią nowe wagony, noc możemy spędzić w budynku pustego szpitala tuż koło placu. Myśląc, że brać będą od dołu, tam drzemaliśmy niespokojnym snem. Po paru godzinach pijane krzyki na schodach. Była to ekipa umundurowanych Łotyszów lub Ukraińców. Weszli do sali, gdzie siedzieliśmy, i z wrzaskiem wyciągali ludzi, stawiając ich pod przeciwległą ścianą, dwóch zaczęło do nich strzelać, a reszta zabrała się za odciąganie dzieci od matek, które krzyczały jak opętane, dzieci płakały, a tamci pękali ze śmiechu i strzelali na ślepo w tłum. Zabite i ranne dzieci leżały na podłodze, która była cała zalana krwią. Nasza rodzina zamarła w najdalszym kącie, moja mama i ciotka usiadły na dzieciach przykrytych szmatami, tak że nas wcale nie było widać. Babcia zasłoniła oczy i płakała. Babcia była zawsze bardzo dzielna, całe życie była podporą ro-

dziny, ale te ostatnie miesiące, jak również wiadomość o śmierci wujka Benka, zamordowanego we Włocławku w okrutny sposób, ją rozstroiły, wyglądała o 20 lat starszej niż przed akcją.

Działalność oprawców trwała może 15 minut, ale wydawało się to rokiem. Potem ktoś z dołu ich zawołał. Poszli, zostawiając nas w tej sali. Była chyba druga w nocy, gdy usłyszeliśmy rozmowy na schodach. Okazało się, że patrol policji żydowskiej przechodził wszystkie piętra i sprawdzał, co się dzieje w budynku. I tutaj nastąpił cud: jednym z policjantów był były mąż ciotki Ani, Max Szlajfsztajn z Włocławka. Podszedł do nas i poprowadził nas tylnymi schodami do jakiegoś wyjścia. W tym momencie pojawił się jego szef, starszy policjant, który zaczął strasznie krzyczeć na Maxa i zagroził mu, że go wyrzuci z policji i też wyśle go do wagonów, ale Max oświadczył, że ma prawo chronić swoje dziecko i tamten jakoś się zgodził. Zdaje się, że babcia dała mu jakiś pierścionek, jeden z niewielu pozostałych nam środków do życia. Trzymałam się kurczowo mamy i po chwili znaleźliśmy się na ulicy. Była noc, wokół strzały, było pusto i ciemno. Weszliśmy do jakiegoś domu i do pustego mieszkania. Szuflady były otwarte, meble przewracane, ubrania, bielizna, zabawki dzieciinne leżały rozrzucone na podłodze. Ich właściciele już prawdopodobnie nie żyli. Przebraliśmy się w pozostawione przez nich ubrania (nasze były całkiem poszarpane i brudne) i usnęliśmy, leżąc jedni przy drugich.

(7)

Ana, posyłam ci plan zdjęć: 3 sierpnia: przylatuję do Warszawy. 4 sierpnia: spotkania z przewodniczkami po getcie. 5 sierpnia: topografia getta, plany w ŻIH. 6 sierpnia: operator przylatuje, dalszy ciąg dokumentacji. 7 sierpnia: dokumentacja i zdjęcia w Warszawie. 8 sierpnia: zdjęcia w Warszawie. 9 sierpnia: Warszawa – Treblinka (zdjęcia). 10 sierpnia: Kazimierz – Puławy (zdjęcia) – Starachowice (dokumentacja) – Działoszyce (dokumentacja) – Bochnia (noc). 11 sierpnia: Bochnia – Piwniczna-Zdrój (dokumentacja), odbiór z lotniska Hermanów, zdjęcia z nimi w Krakowie. 12 sierpnia: Kraków – Czernichów (zdjęcia). 13 sierpnia: zdjęcia z Hermanami w Krakowie, Czernichowie i Katowicach, Hotel Diament, Dworcowa 9.

Do zobaczenia w Warszawie.



NEVER FORGET TO LIE
A FILM BY MARIAN MARZYNSKI

Nasz dom w Bostonie zbudowany był ponad sto lat temu, w zapożyczonym z Anglii stylu „królowej Anny”. Do dawnej świetności przywróciła go Grażyna, która skończyła architekturę na Politechnice Gdańskiej.



Wychowaliśmy tu dwoje dzieci. Anya i Bartek ze swoimi rodzinami w stylu amerykańskim oddaleni są od nas o tysiące mil. Grażyna wyrosła w polskiej rodzinie katolickiej, ale już jako nastolatka przestała chodzić do kościoła.



440

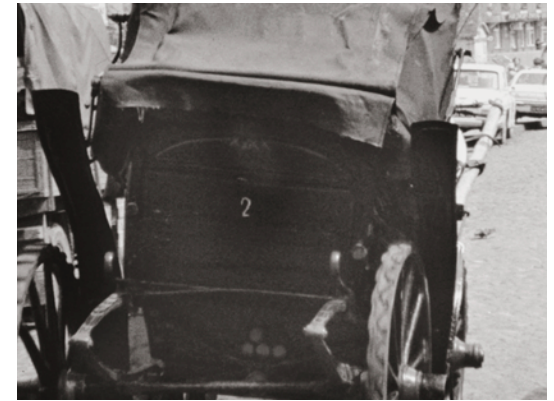


Przywieźliśmy ze sobą kolekcję świątków, które latami zbieraliśmy w Polsce. Wiejskich rzeźbiarzy inspirowały opowieści biblijne, wystuchane w kościołach. Większość postaci to chrześcijanie, ale co jakiś czas pojawia się Żyd. „To ja”, lubię żartować, gdy przychodzi goście.

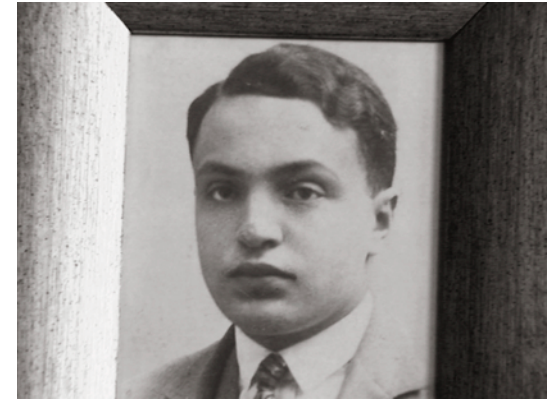




Jako filmowca, od zawsze interesuje mnie życie ludzi, również moje własne. W 1942 roku miałem pięć lat. Rodzice powiedzieli mi, że aby przeżyć, muszę zapomnieć, kim jestem. Powierzyli mnie obcej kobiecie, która wywożąc mnie z getta w drodze, zatykała mi usta, gdy krzychałem: „Ja chcę do getta, ja chcę do mamy”. Zatrzymał nas szmalcownik i groził wydaniem Niemcom. Dostał łapówkę: złoty zegarek mojego dziadka.



*Mama przeżyła warszawskie getto.
Ojca już nigdy więcej nie zobaczyłem.*

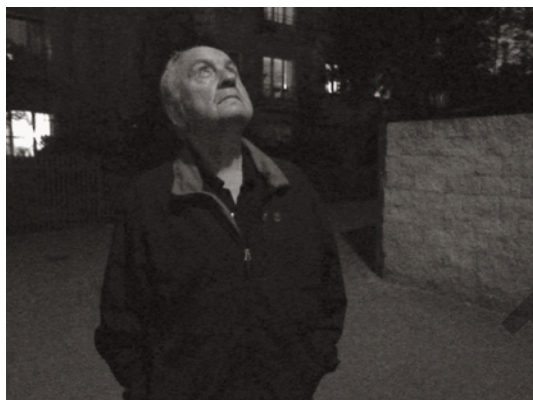


Siedemdziesiąt lat później znowu jestem w Warszawie, mieście, w którym mieszkało kiedyś pół miliona Żydów. Oto co zostało z ruin warszawskiego getta: garstka zagrożonych kamienic, zamienianych na luksusowe mieszkania. Niewiele ponad 20 tys. Żydów przeżyło getto. Wśród nich ja.









Pod osłoną nocy wkraczam do tego miasta duchów. W 1940 roku Niemcy wpędzili nas za mury getta. Stąd zabrali do obozu śmierci moją babcię. Jej matka, w szoku, podążyła za córką. Pamiętam szorstkość nieogolonej brody ojca i zimno ucha matki, za które ją trzymałem, żeby poczuć się bezpiecznie.



- Dziękuję, że mnie pani wpuściła.
- Ale za co?
- Mogła pani powiedzieć: „Co mnie to obchodzi, że pan tu kiedyś mieszkał?”
- Ale państwo nie byliście Żydami...
- Byliśmy. Tutaj było getto.
- A no to niech pan powie od razu.

W trzech małych pokojach mieszkało nas tu 12 osób z bliższej i dalszej rodziny.



- Ja miałam przyjaciółkę Żydówkę, ja patrzyłam, jak getto płonie i dostałam za to po buzi od ojca, bo myśmy podchodzili, a Niemcy tylko na to liczyli, że my rzucimy chleb czy ziemniaki i strzelali. Ja nawet głosu niemieckiego nie mogę słuchać, tak ich nienawidzę. A nie powinno się, bo Bóg tak nie pozwala, ale ja nie mogę.





Kilkaset osób, które przeżyły zagładę jako dzieci, przyjechało na spotkanie do Warszawy. Ratowani przez rodziców, którzy poświęcili dla nas swoje własne życie, odziedziczyliśmy niewiele faktów i dużo bólu.



– Ojciec posadził mnie na kolanach i powiedział: „Od tej pory będziesz nazywać się Marysia Kowalska. Po wojnie, jeżeli przeżyjesz, czytaj ogłoszenia w gazetach, może ktoś będzie cię szukał”.



– Janette, jesteś ode mnie dwa lata młodsza, co pamiętasz z getta?
– Niemieckie buty, skórzane, wojskowe, świecące się buty. I dźwięk tych butów chodzących po ziemi: puf, puf, puf...
– Czy to prawda, że dopiero teraz zaczęłaś o tym mówić?
– Tak.
– Dlaczego wcześniej nie?
– Bo za bardzo mnie to bolało. Dopiero niedawno zaczęłam wyzwalać się z więzów strachu.





Dlaczego wracamy do tej prześladowającej nas przeszłości? Dlaczego zadajemy sobie ten ból? Czy po to, żeby go uleczyć? Zosia Shulman przyleciała z Nowego Jorku.



Zabiera mnie ze sobą na podwórko warszawskiego getta. Tutaj zmarła na tyfus jej matka. Pięć lat starsza ode mnie Zosia pamięta więcej.



– Tak to wyglądało... śmierć... Widzę moich ludzi w tych oknach, głodnych ludzi, na których twarzach zapisana jest śmierć. Widzę nędzarza na podwórku. Ktoś z okna rzuca mu kilka groszy. Słyszę niemieckie wrzaski: „Wszyscy na podwórze!”. Chorzy ludzie nie potrafią zejść ze schodów. Ja to wszystko pamiętam.





Lilian Boraks-Nemetz, poetka i pisarka, mieszka w Vancouver, w Kanadzie. Jej młodszą siostrę zastrzelono w getcie. Rodzice przeżyli.

– Po tamtej stronie muru było życie, po tej stronie była śmierć.



– Stoimy i czekamy, ja wbijam paznokcie w ciało matki i pytam: „Dokąd idziemy?”. Niemcy nas gnają, ktoś strzela, matka i ja padamy na ziemię, wciskam się w jej ciało, nagle ktoś nas obejmuje i wciąga do bramy, każe nam leżeć i być cicho, to był mój ojciec.



– Reszta ludzi idzie dalej w stronę Umschlagplatz, ojciec zawsze nas ratował, w tym chaosie wykorzystał okazję...

– Był żydowskim policjantem?

– Najpierw był strażnikiem, później został policjantem, pomagał przy deportacjach, nienawidził tego, co robił, ale żeby przeżyć w tej dżungli, powiedział mi, trzeba było być zwierzęciem...





Jedenastoletnia Celina Jaffe jako jedyna ze swojej rodziny uratowała się z getta. Dzisiaj mieszka w Los Angeles.

– Niemcy okrążają nas ze wszystkich stron, ogarnia mnie strach... chowam się za domem... podchodzi żołnierz... wyciąga pistolet i celuje we mnie... „ręce do góry!”... co on chce ze mną zrobić? dlaczego ten pistolet?... „ja chcę żyć, jestem małą dziewczynką, nie zabijaj mnie, zlituj się nade mną!”...



„...jeśli mnie zabijesz, nigdy nie zapomnisz mojej twarzy, zawsze będziesz pamiętał, że zabiłeś niewinną dziewczynkę”... „zamknij się i uciekaj! nic nie mów, tylko uciekaj! uciekaj!”...

Podeszła do niej nieznajoma kobieta, szmuglująca towary do getta, i zabrała ją na stronę aryjską.



W 1942 roku rozpoczyna się masowa deportacja dzieci żydowskich do obozów śmierci. Moja przewodniczka umieszcza mnie w mieszkaniu, które można nazwać pensjonatem dla ukrywających się Żydów. Za mieszkanie płaci ze sprzedaży złotych zębów, odziedziczonych po dziadku-dentyście, w które zaopatrzyła ją matka.





Gdy kończą się pieniądze na moje kryjówki, matka ucieka z getta i szuka dla nas pomieszczeń. Dnie spędzamy w warszawskich kościołach, a noce ukryci za sztucznymi ścianami albo na podłogach sklepów, po ich zamknięciu. Mama jest blondynką o niebieskich oczach i nie wygląda na Żydówkę. Mój wygląd jest niebezpieczny dla nas obojga.



Razem nie mamy szansy na przeżycie, a matka sama nie chce pozostać przy życiu. Gdy zatrzasną się wszystkie drzwi, jedziemy windą na ostatnie piętro jednej z warszawskich kamienic. Matka otwiera okno i chce zabrać mnie ze sobą. Nie starcza jej odwagi.



Ktoś poleca znajomego, który pracuje w opiece społecznej i umieszcza w sierocińcach bezdomne dzieci. Matka przyprawdza mnie pod dom tej instytucji.

Na szyi zawiesza mi tabliczkę: „Nazywam się Maryś, moi rodzice nie żyją”. Daje mi bułkę posypaną cukrem i obserwuje, jak wchodzę na podwórko. Boi się, że wrócę. Stoję spokojnie i czekam.









Ale zamiast umówionego człowieka podchodzi do mnie pijany mężczyzna i zabiera do swojej piwnicy. Jest to dozorca tej kamienicy mieszkający w biedzie z piątką dzieci. Mnie upatruje sobie na swoje szóste.



Pracownik opieki społecznej dzwoni do matki i mówi, że na podwórku mnie nie znalazł. Jej plan się zawalił. Straciła mnie.

Po paru tygodniach dozorca zaczął zadawać mi pytania, na które nie powiniennem był odpowiadać: kim jestem? gdzie są moi krewni? Podaję mu parę adresów. Wystraszeni ludzie mówią, że mnie nie znają. Pewna kobieta wpuszcza mnie do środka i dzwoni do matki, która w ten sposób dowiadyuje się, że żyję.



Kobieta nazywała się Krysia Baranowa. Obiecała mojemu ojcu, że zrobi wszystko, aby uratować życie jego jednemu synowi. Ostatni raz widziałem ją 30 lat temu.

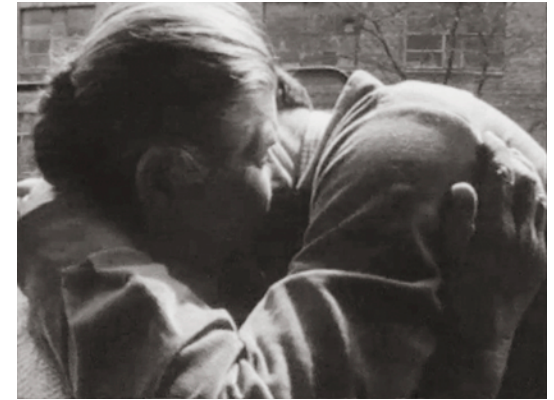




– Ty jesteś, słuchaj, spojrzenie, budowa, oczy, wszystko jak ojciec.
– Szczęśliwa jestem, że twoja matka przeżyła.



Pamiętam ten balkon. Ktoś przechodzący ulicą nazywał mnie Żydem. „Tak”, odpowiedziałem, „jestem Żydem, zabierzcie mnie z powrotem do getta”.



– Powiedz mi, czy ty kochasz trochę tę Polskę?
– Dlaczego każdy jest podejrzany, że nie kocha Polski? Wiesz, kogo się kocha? Krysię, Basię, ludzi... Wiesz, kto mówi najczęściej o Polsce? Faszyci albo rządy, które chcą utrzymać ludzi w dyscyplinie. Ja kocham ludzi.





Krysia zaprowadziła mnie do eleganckiej dzielnicy, gdzie mieszkał ksiądz Józef Kamiński. Jego gosposia, Antonina Kaczorowska, chciała zaopiekować się wojenną sierotą. Kościelna metryka miała świadczyć, że nie byłem Żydem. Niedługo potem odkryli prawdę, ale postanowili mnie zatrzymać.



Ksiądz był moim pierwszym nauczycielem religii, a ja jego dobrym uczniem. Schowany za firanką, obserwowałem stąd niemieckich oficerów spacerujących pod moimi oknami. Podnosząc rękę, robiłem znak krzyża świętego, błogosławiąc zło. Sześcioletni orędownik pokoju, czyniący cuda.



Ksiądz zorganizował dla mnie kryjówkę w sierocińcu prowadzonym przez Braci Orionistów, 20 kilometrów od Warszawy. Było tu nas 45 sierot. Ja byłem najmłodszy. Gdy Niemcy odwiedzali sierotniec, ukrywano mnie za ołtarzem. W wieku lat sześciu otrzymałem komunię świętą i stałem się oddanym ministrantem, ulubieńcem księży. Po wieczornej mszy zasypiałem czasami przy ołtarzu, a wtedy ksiądz brał mnie na ręce i zanosił do łóżka.





W getcie chciałem zostać strażakiem. Tutaj moim jedynym celem było zostać księdzem. Imponowałem innym chłopcom, mówiąc po łacinie, języku mszy. Wdychanie zapachu kadzidła, dotykanie szat księży, gdy pomagałem im się ubrać, były moimi przyjemnościami.



W mojej wyobraźni było dwóch Bogów: żydowski, gigantyczny mężczyzna w ogromnych butach z głową wysoko w chmurach, i drugi, mniejszy, polski. To był Bóg, któremu służyłem. Czy ta dziecięca filozofia była oznaką dorosłości w wieku lat siedmiu, gdy zrozumiałem, że kłamstwo jest kluczem do mojego przeżycia?



Po wojnie matka odnalazła mnie w sierocińcu i wróciliśmy do Warszawy. Poprosiłem ją, aby zabrała mnie do kościoła, żebym mógł służyć do mszy. Ołtarz był bardzo wysoki. Gdy podawałem księdzu wodę i wino, upuściłem jedną z ampulek na ziemię i wtedy zrozumiałem: zostałem odkryty, Bóg mnie nie chce.





Większość Żydów, którzy przeżyli zagładę, opuściła Polskę zaraz po wojnie. Moja matka zdecydowała, że powinniśmy pozostać w kraju, w którym udało się nam przeżyć. Gdy mieszkałem w Polsce słowo „Żyd” nie brzmiało dobrze, wymawiano je szeptem. Scena, jaką teraz oglądam, byłaby nie do pomyślenia.



W demokratycznej Polsce, na ulicach krakowskiego getta, młodzi ludzie wybijają w tańcu żydowskie rytmy. Stąd, na oczach ich polskich sąsiadów, tysiące Żydów wywożono na śmierć. Krakowski Festiwal Kultury Żydowskiej jest rytuałem tej tragicznej przeszłości. Być może rodzajem pokuty.



W Krakowie spotykam Eda Hermana i jego żonę Halinę. Mieszkają na Florydzie. Oboje byli dziećmi, które przeżyły zagładę w Polsce. Jest to pierwszy ich powrót.





Jako sześciolatek, Ed mieszkał przed wojną w Katowicach.

– To było nasze podwórko.



– Niewielu ludzi miało samochód... To ja, moja matka i ojciec, mieliśmy kierowcę.

– Ty, księżę Edward, ojciec król i twoja matka...

– To ona była prawdziwą bohaterką w czasie wojny.



Gdy wybuchła wojna, miasto trafiło do Rzeszy Niemieckiej. Rodziny żydowskie musiały uciekać. Ojciec Eda schronił się we wschodniej Polsce. Ed ukrywał się z matką w Krakowie.

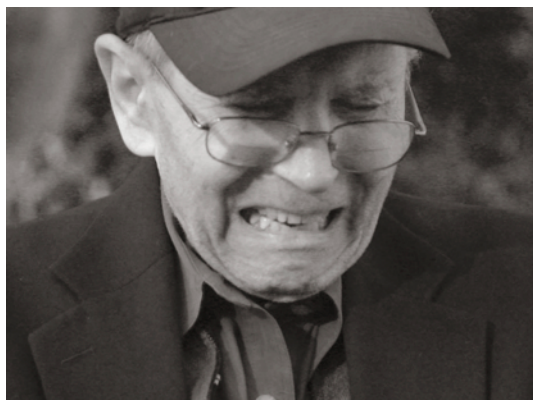




Gdy matka szła do pracy, Ed spędzał całe dnie w krakowskich tramwajach, bo pozostanie w mieszkaniu było niebezpieczne.



Matka Eda podjęła trudną decyzję, podobną do tej, którą podjęła moja matka: postanowiła rozstać się z synem. Znalazła przewodnika, który miał przeprowadzić dziesięcioletniego chłopca przez granicę polsko-słowacką.



– Nie miałem nic poza tym, co na sobie, nie znałem języka...

Ed znalazł się w Budapeszcie. Zanim trafił do polskiego sierocińca, tułał się po ulicach jako bezdomne dziecko.

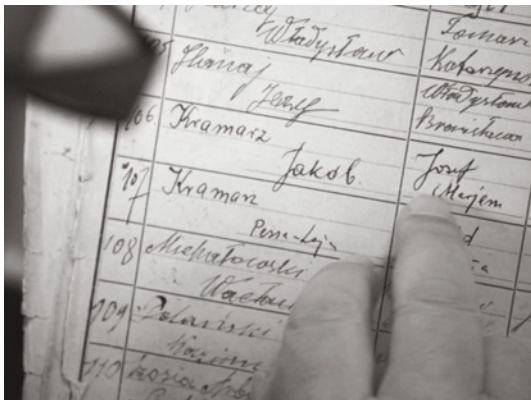




Halina urodziła się w roku 1939, w rodzinie żydowskiego lekarza w Starachowicach. Pamięta adres: Piłsudskiego 27. Gdy utworzono getto, Halina z matką uciekły do Krakowa, aby ukrywać się wśród nieżydowskiej ludności. Ojciec został w mieście, gdzie Niemcy przekształcili hutę stali w obóz pracy. Pracował tam jako lekarz.



Właścicielka domu zaprosiła nas do swojego mieszkania, gdzie zachowała stare książki meldunkowe.



„Jakób Kramarz doktor medycyny, urodzony w roku 1906 wyznania mojżeszowego, został zabrany z tego mieszkania przez władze niemieckie”. Stempel policyjny z 21 kwietnia 1941.

– Był przystojny, był zdolny, chodzili tu ludzie do niego czy tego... Oni spokojnie żyli, nie mieli jakichś wrogów. A pani była przesłiczna, taka ładna czarna mała dziewczynka...





Ojciec Haliny zmarł w przepelnionym wagonie bydlęcym, w drodze do Auschwitz.

– Rodzice byliby dumni ze mnie, z mojej rodziny, mojego męża. Dobrze, że tu przyjechalśmy. Tu są moje korzenie, chciałam przekonać się, że Piłsudskiego 27 istnieje.



– To było przedszkole prowadzone przez zakonnice. Któregoś dnia mama powiedziała: „Nie idziesz dziś do kościoła”, na co ja: „Co? Nie idę do kościoła? To będzie grzech”. „Nie idziesz”, odpowiedziała, „bo jesteś Żydówką, jutro wyjeżdżamy z Polski”.



– „Ja, Żydówką? Nie mogę być, bo ty nie jesteś”. A ona, że też jest Żydówką. „To może twoja mama nie była?”, „Ona też.” Byłam oszołomiona.
– „Nie mam nic przeciwko Żydom”, powiedziałam matce, „ale nie chcę być jedną z nich”.





Ed jest moim dalekim kuzynem. Dowiedziałem się o nim dopiero 40 lat po wojnie, ale w tym samochodzie stajemy się bliską rodziną.



Jego dziadek mieszkał w warszawskim getcie, skąd wywieziono go do komór gazowych w Treblince.



Mój ojciec również miał się tam znaleźć. Po wojnie dowiedziałem się o jego losie. Udało mu się zabrać z getta trochę narzędzi stolarskich. Gdy pociąg ruszył, przystąpił do piłowania dziury w podłodze wagonu. Pociąg zwolnił. Ojciec, wraz z innymi, wyskoczył. Uciekli do lasu.





Skontaktowali się z dróżnikiem, który wysłał pocztówkę do mojej matki, podając ich miejsce pobytu. Matka przyjechała na spotkanie. Zawsze wiedziałem o tym miejscu, ale mieszkając w Polsce, nie miałem odwagi wejść do tego lasu.



Matka odwiedziła go jeszcze dwa razy. W czasie ostatniej wizyty ojciec dał jej swój szwajcarski zegarek. Powiedział, że będzie dla mnie, jeżeli uda mi się przeżyć. Kiedy matka odjeżdżała pociągiem z pobliskiej stacji, usłyszała w lesie strzały. Tutaj leżą jego szczątki.



– Dzięki niemu żyję. To on, w 1937 roku postanowił mnie nie obrzezywać, co w czasie wojny decydowało o życiu i śmierci żydowskiego chłopca. Po raz pierwszy pokazuję komuś ten zegarek. Nie chciałem na niego patrzeć i myśleć o tym, co zdarzyło się w tym lesie.





Jako ostatnich naocznych świadków zagłady polskich Żydów, ściągnęła nas tu potrzeba fizycznego kontaktu z tym nieistniejącym już światem.



Przywieźliśmy ze sobą nasz ból i, często pozbawione ostrości, szczątki naszej pamięci.



W obawie, żeby nie wyblakły.

**Written, directed and produced by
Marian Marzynski**



rechter Zeigefinger
palec wskazujący prawej ręki



linker Zeigefinger
palec wskazujący lewej ręki

FRAGM

Stefia Rozanska

Unterschrift des Kennkarteninhabers
Podpis posiadacza karty rozpoznawczej

Warschau

30 November
den 11 listopada 1942
dnia

Der Stadthauptmann
Ausstellungsdirektor
Władza wystawiająca



M. A. M...
Unterschrift des ausfertigenden Beamten
Podpis sporządzającego urzędnika

AMTLICHE VERMERKE UWAGI URZĘDOWE

Der Kennkarteninhaber wohnt
Posiadacz karty rozpoznawczej mieszka

in **Warschau** Strasse **Wilenska 23**
w ulica



Stadtsigil
Pieczęć służbowa

K...
Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

cb *20. 7. 1944*
od *Job. Montic*
in Strasse *Gou. Kouty*
w ulica

Kreish. *Grodz*
Starostwo powiat. *CHARZAD GIMINNY W KATACH*
Dienstsigel *K...*
Pieczęć służbowa *pow. grójeckiego*
Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

cb *29 XII 1944*
od *Milauowek*
in Strasse *Sw. Jadwigi*
w ulica

Kreish. *Bochacz*
Starostwo powiat.
Dienstsigel
Pieczęć służbowa
Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

cb
od
in Strasse
w ulica
Kreish.
Starostwo powiat.

Dienstsigel
Pieczęć służbowa
Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

Częstochowa, 15 marca 1945 r.

Szanowna Pani,

Przed chwilą otrzymałam list od Pani z dn. 24.II.45 i natychmiast spieszę z odpisaniem: aby przede wszystkim pogratulować Pani, że stała nagonką na życie już się zakończyła, i że teraz będzie Pani mogła wychowaniem syna sama się zająć.

W poprzednim swym liście pisałam Pani o wdzięczności, ci, w stosunku do mojej osoby, za opiekę nad Marysiem.

Mam pełne prawo sądzić, że wdzięczność ta zle jest skierowaną, winna być ona zwrócona pod adresem p. Antonii Kaczorowskiej: zdaje sobie bowiem dokładnie sprawę z tego co i ile ja uczyniłam dla Marysia, a co i ile zrobiła dla niego i dla Pani - p. Kaczorowska.

Nie było to jednak dla niej nic dziwnego, ani też nadzwyczajnego. Dziś bowiem już całkiem głośno mogę świadczyć dla ilu osób i ilokrotnie poświęcała się p. Kaczorowska i ryzykowała swym życiem. Łasce Bożej tylko należy przypisać, że jej niemcy nie pochycili, a schwytańszy nie powiedzieli. I wielu ludzi zawdzięcza p. Kaczorowskiej to, że żyją i że przeżyli niemiecką okupację.

Tedy sprawa Marysia nie była dla niej quid novum. Dobrze Pani rozumie, że gdyby niemcy wiedzieli o tym, co p. Kaczorowska robiła dla Marysia, to dziś Pani nie byłaby już p. strażniczką syna, a p. Kaczorowskiej nie byłoby między żywymi.

Albo to dopiero jedna strona medalu. Jest bowiem jeszcze i druga.

Kim dla Marysia była p. Kaczorowska, widać z całego ustosunkowania się tego chłopca względem niej. On ją tak serdecznie i gorąco kochał, jak serdecznie i gorąco kocha się tylko matkę. Czyste serce dziecka rozumiało, że tu w grę wchodziło nie tylko wypełnienie chrześcijańskiego, religijnego obowiązku, ale że tu była także i nuta prawdziwego poświęcenia, czyli miłości.

I to nie ja - jak się Marysiowi wydawało - lecz ona, zwykła niewykształcona niewiasta, i to niewiasta ciężkiej, fizycznej pracy, wychowywała przez te lata Marysia. Jej tedy tylko można dziękować i tylko w stosunku do niej może być mowa o wdzięczności.

Księża w Łazniewie zrobili bardzo dużo - dobrze, że o wielu sprawach nic nie wiedzieli, zresztą obserwując przywiązanie i miłość Marysia dla p. Kaczorowskiej mieli pełne prawo sądzić, że to nie ciotka Marysia, lecz wstydliwie ukrywająca się jego "matka" - w sprawie wychowania Marysia. I zakład ich jest dobrym zakładem. Ale czy można porównywać ich wkład w wychowanie Marysia z wkładem wniesionym przez p. Kaczorowską?

Na takim tle, wszelkiego rodzaju wydatki pieniężne: ubranka, prezenty, reparacje, wielokrotna jazda w najfatalniejszych warunkach, ciągłe wymigania się przed "kapankami" itd., itd. - coż one wszystkie znaczą? Na takim tle to to wszystko są drobności i tylko drobności.

To nawet nie zasługuje na nazwę "strony medalu". Bo i jakżeż by to można porównywać? Z jednej strony ciągłe ryzyko własnego życia, stałe igranie z ogniem niemieckiej chytrkości obok ołtrzymego poświęcenia w służbie przykazania Bożego o czynnej miłości bliźniego, - a z drugiej strony ... zaledwie pieniądze! Toć to są wielkości niewspółmierne. Dosłownie: niewspółmierne.

Chociaż i te pieniądze nie były znowu takie małe! I teraz dopiero mogę powiedzieć, że wydatki związane z utrzymaniem i wychowywaniem Marysia nie ponosiłam prawie, nie żebym nie mógł lub nie chciałam. Nie! Lecz, że temu absolutnie sprzeciwiała się p. Kaczorowska. To była jej sprawa; miała w tem być jej zasługa, więc nie zgażała się, by miał jej w tem ktokolwiek bądź pomagać.

Gdy miała za mało pieniędzy - podjęła się dodatkowej pracy, byle tylko za jej pieniądze Maryś jadł przysmaki. A Maryś ani się domyślał, zającą przysmaki, że na te przysmaki "ciotka" jego musiała sobie od ust odejmować. Ale czyż nie na tym właśnie polega chrześcijańska cnota i chrześcijańskie życie. A p. Kaczorowskiej nie o cnotę chodziło i nie na jej imieniu zależało. A jej samą cnotą było, że gdy w analogicznych wypadkach przysmaki "pani" odsyłały dzieci do R.G.O. lub do Czerwonej Krzyża, to ona "służąca" sama na wszystko pracuje i własnymi pieniędzmi pomocą służy.

Teraz Pani nie ma, czemu nawet i za wydatki na Marysia nie mnie się dziękowanie należy. p. Kaczorowska pełała Marysiowi, a więc i Pani, pomocną dłoń wówczas, gdy nawet najbliżsi - którym zresztą nic nie groziło - usunęli się. To także jeszcze jeden do datkowy aspekt w całej tej sprawie.

A już zupełnie pominię takie drobności jak meldowanie Marysia w Warszawie, kolonię w Józefowie, i wszystkie inne perypetie związane z życiem tego chłopca. Jak to czytamy w Panu Tadeuszu - "niech Pocięj Macieja, a nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja".

Jasne jest tedy, że podziękowania skierowanego w moją stronę przyjąć nie mogę. Jest tu cprawda i moja część jest i moja zasługa, - ale w stosunku do zasługi p. Kaczorowskiej muszę ustąpić i to ustąpić na całej linii. Tyle, w związku z listem Szanownej Pani, miałem do napisania.

Zycząc Pani, aby Maryś nie zmarnował dobrej w swym sercu siewby i aby został prawdziwym "człowiekiem".

Ms. Z. Kaminski
/ks. Z. Kaminski/